

# SŁOWO WSTĘPNE I WSPOMNIENIA Z MŁODYCH LAT



amysłem powstania przedstawionych tutaj autobiograficznych wspomnień z życia mojego ojca było pozostawienie ich jego dzieciom, nie zaś ich upowszechnienie. Wielu osobom może się to wydać niezrozumiałe, jednakże ci, którzy znali mojego ojca, nie odnajdą w tym nic nadzwyczajnego, a wręcz przeciwnie – jego decyzja będzie dla nich czymś najzupełniej naturalnym. Autobiografia ta nosi podtytuł: „Wspomnienia z rozwoju mojego umysłu i charakteru” i kończy się następującym zapisem:

„Jest 3 sierpnia 1876 roku. Tworzenie tego zarysu mojego życia rozpocząłem około 28 maja w Hopedene i od tamtej pory aż do dzisiejszego dnia przeznaczałem nań około godziny niemal każdego popołudnia”.

Jak łatwo można się domyślić, w tej osobistej i intymnej narracji spisanej dla żony i dzieci pojawiają się fragmenty, które w niniejszej publikacji zmuszeni będziemy ominąć; nie uznałem za zasadne, aby szczegółowo oznaczać miejsca, w których dochodzi do takiego pominięcia. Ponadto zaszła potrzeba wprowadzenia korekty paru oczywistych przejęzyczeń, jednak ich liczba nie była zbyt duża.

- F. D.

\*\*\*

Kiedy niemiecki wydawca, zapragnął opisać przebieg rozwoju mojego umysłu i charakteru, zwrócił się do mnie z propozycją abym stworzył szkic swojej autobiografii, uznałem, że realizacja tego zadania może być dla mnie ciekawą odskocznią, a taki szkic potencjalnie mógłby zainteresować moje dzieci lub ich potomstwo. Sądzę, że przeczytanie takiego autobiograficznego rysu przedstawiającego rozwój umysłu mojego dziadka, stworzonego przez niego samego, byłoby dla mnie niezwykle interesujące. Pozwoliłoby mi na dowiedzenie się tego, w jaki sposób myślał, co robił i jak pracował. Podjąłem próbę stworzenia takiego szkicu, przyjmując taką perspektywę jak gdybym był martwym człowiekiem znajdującym się już w innym świecie, przyglądającym się swojej własnej przeszłości z pewnego dystansu. Nie było to zbyt trudne, jako że moje życie dobiega już końca. Nie zadałem sobie jednak trudu zadbania o styl mojego pisania w jakiś szczególny sposób.

Urodziłem się w Shrewsbury 12 lutego 1809 roku i moje najwcześniejsze wspomnienie sięga czasów, kiedy ledwie o kilka miesięcy przekroczyłem wiek czterech lat. Wybraliśmy się wówczas w okolice Abergale, aby zażyć morskiej kąpieli i dość wyraźnie przypominam sobie pewne wydarzenia i miejsca z tego czasu.

Matka moja umarła w lipcu 1817 roku, kiedy miałem niewiele ponad osiem lat, i wydaje mi się dziwne, że nie mogę przypomnieć sobie niemal nic prócz jej łoża śmierci, czarnej aksamitnej sukni i przedziwnej konstrukcji stolika, przy którym pracowała. Wiosną tego samego roku zostałem wysłany do szkoły w Shrewsbury, do której uczęszczałem przez rok. Powiedziano mi, że nauka przychodzi mi znacznie wolniej niż mojej młodszej siostrze, Catherine i myślę, że pod wieloma względami nie byłem w tym czasie wzorem do naśladowania.

Jeszcze zanim zacząłem uczęszczać do szkoły<sup>1</sup>, rozwinęło się moje zamiłowanie do historii naturalnej, a przede wszystkim do kolekcjonowania. Wymyślałem nazwy roślin i zbierałem wszelkiego rodzaju rzeczy – muszelki, pieczęcie, stemple, monety, minerały. Pasja do kolekcjonowania, która rozbudza w człowieku większą lub mniejszą fascynację przyrodą, była we mnie niezwykle silna, wręcz organiczna, zaś żadna z moich siostr, ani też żaden z moich braci nigdy nie wykazywali podobnych zainteresowań.

Owego roku w moim umyśle bardzo silnie zapisało się pewne

<sup>1</sup> Według Rev. G. Case, pastora Kaplicy Unitariańskiej na High Street. Pani Darwin była Unitarianką i przychodziła do kaplicy pana Case'a. Mój ojciec jako mały chłopiec przychodził do niej ze swoimi starszymi siostrami, ale zarówno on, jak i jego brat, byli ochrzczeni i chcieli należeć do Kościoła Anglikańskiego i w nieco starszym wieku uczęszczali już głównie do niego, nie do kaplicy Pana Case'a. Mimo to, właśnie w tej kaplicy (dzisiaj znanej jako "Wolny Kościół Chrześcijański") umieszczono ścienną tablicę ku jego pamięci. - F. D.

pozornie mało znaczące wydarzenie i wierzę, że stało się tak, dlatego że wpędziło mnie ono w nie lada tarapaty. Zdziwiająca, że najwyraźniej już w tak młodym wieku interesowała mnie różnorodność roślinności! Powiedziałem wtedy innemu chłopcu (wydaje mi się, że był to Leighton<sup>2</sup>, który później został znanym lichenologiem i botanikiem), że potrafiłbym stworzyć wielokolorowe pierwiosnki, podlewając je określonymi kolorowymi płynami. Było to oczywiście jednym wielkim wymysłem, nigdy przeze mnie niewypróbowanym. Przyznam również, że jako mały chłopiec wielokrotnie wymyślałem wierutne kłamstwa, a wszystko to w celu wywołania emocji. Pewnego razu na przykład zebrałem sporą ilość cennych owoców z drzewa mojego ojca i ukryłem je w zaroślach. Po pewnym czasie przybiegłem, z trudem łapiąc oddech, aby ogłosić, że znalazłem miejsce, w którym ukryte były skradzione owoce<sup>3</sup>.

W czasie, kiedy zacząłem uczęszczać do szkoły, byłem bardzo łatwowierny. Pewnego dnia chłopiec imieniem Garnett zabrał mnie do piekarni i kupił parę ciastek, za które nie musiał płacić, ponieważ sklepikarz miał do niego zaufanie. Kiedy już opuściliśmy sklep, zapytałem go, dlaczego nie zapłacił, a on natychmiast odpowiedział: „Czy nie wiesz, że mój wuj podarował miastu dużą sumę pieniędzy pod warunkiem, że wszyscy sprzedawcy każdemu, kto będzie miał założony ten stary kapelusz i poruszy nim w odpowiedni sposób, dadzą za darmo cokolwiek on sobie zażyczy bez konieczności zapłaty?”, i pokazał mi sekretny ruch.

<sup>2</sup> Pan W. A. Leighton przypomina sobie, że Darwin przyniósł do szkoły kwiat, mówiąc, że matka nauczyła go, że patrząc do jego wnętrza, można odkryć nazwę rośliny. Leighton mówi: „To znacznie budziło moją uwagę i ciekawość i nieustannie pytałem go, jak to jest możliwe” - te informacje były jednakże, co oczywiste, niemożliwe do uzyskania. - F. D.

<sup>3</sup> Jego ojciec podchodził do takich zachowań w mądry sposób i nie wyolbrzymiał wybryków dziecka, lecz podkreślał ich walory odkrywcze.

Następnie wszedł do kolejnego sklepu, w którym cieszył się zaufaniem, i poprosił o jakąś niewielką rzecz. Poruszył należycie nakryciem głowy i, oczywiście, otrzymał towar, nie płacąc za niego. Kiedy wyszliśmy, powiedział: „Teraz, jeśli chcesz możesz sam spróbować w tej piekarni (wciąż dokładnie pamiętam gdzie się ona znajdowała), pożyczę ci mój kapelusz i możesz dostać, czego tylko zapragniesz, jeśli poruszysz nim w odpowiedni sposób”. Chętnie przystałem na tę hojną ofertę, wszedłem do sklepu i poprosiłem o parę ciastek, poruszyłem nakryciem głowy i już zmierzałem w kierunku wyjścia, kiedy nagle sprzedawca ruszył w moją stronę. Upuściłem wypieki i puściłem się stamtąd biegiem, zdumiony tym, że powitały mnie salwy śmiechu mojego fałszywego przyjaciela, Garnetta.

Na swoją obronę mogę powiedzieć tyle, że byłem po prostu dobrodusznym dzieckiem. Zawdzięczałem to pouczeniom i przykładom otrzymywanym od moich sióstr. Wątpię jednak w to, czy dobroduszość jest naturalną, wrodzoną cechą. Bardzo lubiłem zbierać jajka, ale nigdy nie wziąłem z ptasiego gniazda więcej niż jednego, poza przypadkiem, gdy zabrałem wszystkie – nie ze względu na ich wartość, ale ze względu na pociągającą brawurowość tego dokonania.

Przejawiałem silne zamiłowanie do wędkowania i w nieskończoność mogłem przesiadywać na brzegu rzeki lub stawu, wpatrując się w taflę wody. Kiedy w Maer dowiedziałem się, że mogę zabijać robaki solą i wodą, to od tego dnia już nigdy nie użyłem żywego robaka, jako przynęty, choć najdelikatniej mówiąc, prawdopodobnie kosztem utraty części sukcesu.

Pewnego razu, będąc jeszcze małym chłopcem, kiedy uczęszczałem już do szkoły, lub nawet trochę wcześniej, zachowałem się okrutnie, bijąc szczeniaka i upajając się przy tym, jak

przypuszczam, samym poczuciem władzy. Uderzenia nie mogły być silne, gdyż potem pies nawet nie wył, czego jestem pewien, bo zwykle kręcił się niedaleko domu. To wydarzenie położyło się cieniem na moim sumieniu i aż do dnia dzisiejszego dokładnie pamiętam miejsce dokonania tej zbrodni. Możliwe, że stąd wzięła się moja miłość do psów, która potem przerodziła się w pasję. Zdaje się, że psy to wyczuwają, gdyż opanowałem sztukę okradania ich właścicieli z ich miłości.

Pamiętam dokładnie wydarzenie, które miało miejsce tego roku, gdy uczęszczałem do szkoły pana Case'a. Mianowicie pogrzeb żołnierza. To zdumiewające jak wyraźnie wciąż widzę konia, puste buty mężczyzny i karabin zawieszony na siodle oraz słyszę wystrzały oddawane przy jego grobie na jego cześć. Ta scena głęboko poruszyła wszelkie posiadane przeze mnie pokłady poetyckiej wrażliwości.

Latem 1818 roku rozpocząłem naukę w szkole dr. Butlera w Shrewsbury i pozostawałem tam przez siedem lat, aż do wakacji 1825 roku, kiedy to miałem szesnaście lat. Była to placówka z internatem, więc miałem przywilej doświadczenia prawdziwego uczniowskiego życia, mimo że od domu dzieliła mnie niewiele ponad mila, wielokrotnie biegłem tam w trakcie dłuższych przerw między zajęciami czy przed zamknięciem budynku na noc. Uważam, że utrzymywanie więzi rodzinnych i zainteresowania życiem rodziny było dla mnie niezwykle korzystne. Pamiętam, że we wczesnym okresie mojego szkolnego życia często musiałem bardzo szybko biegać, żeby zdążyć na czas, ale jako że byłem sprawnym biegaczem, zwykle mi się udawało. Kiedy jednak miewałem chwile zwątpienia, gorliwie modliłem się do Boga, aby mi pomógł. Dobrze pamiętam, że źródła sukcesu dopatrywałem

się wtedy w modlitwie, a nie w szybkim biegu, i zastanawiałem się, w jakiż to sposób Bóg mi pomógł.

Ojciec i starsza siostra opowiadali, że jeszcze jako mały chłopiec, znajdowałem silne upodobanie w długich samotnych spacerach. O czym w ich trakcie myślałem, nie mam pojęcia. Różne rzeczy mocno absorbowały moje myśli i któregoś razu, kiedy wracałem ze szkoły, na szczycie starych fortyfikacji otaczających Shrewsbury, które przekształcono w publiczną ścieżkę spacerową pozbawioną z jednej strony balustrady, potknąłem się i spadłem, ale wysokość sięgała jedynie jakichś siedmiu czy ośmiu stóp. Niemniej jednak ilość myśli, jakie przewinęły się przez moją głowę w trakcie tego krótkiego, ale nagłego i całkowicie niespodziewanego upadku, była zadziwiająca i wydawała się niezbyt kompatybilna z tym, co o ile mi wiadomo, dowiedli fizjolodzy, że każda myśl wymaga pewnego określonego przedziału czasowego.

Nic nie mogłoby okazać się gorsze dla rozwoju mojego umysłu niż szkoła dr. Butlera, jako że dominowało w niej ściśle klasyczne podejście do edukacji i nie nauczano w niej niczego innego, poza odrobiną antycznej geografii i historii. Szkoła ta, jako ośrodek edukacji, okazała się być dla mnie kompletnie bezwartościowa. Podczas całego mojego życia nauka języków obcych sprawiała mi szczególnie duże trudności. Niezwykle dużą uwagę przykładaliśmy do pisania wierszy, ale nigdy nie opanowałem tej sztuki w zadowalającym stopniu. Miałem wielu przyjaciół i zgromadziłem pokaźną kolekcję wersetów starych wierszy, które po połączeniu ze sobą, czasem z pomocą innych chłopców, mogłem wedle potrzeby dowolnie przekształcać. Szczególny nacisk kładziono na wykuwanie na pamięć lekcji z poprzedniego dnia; udawało mi się to opanować z wielką trudnością dzięki temu, że uczyłem się czterdziestu czy pięćdziesięciu wersów poezji

Wergiliusza lub Homera, podczas porannego nabożeństwa. To ćwiczenie było jednak pozbawione sensu, jako że każdy z zapamiętanych wtenczas wersów w ciągu 48 godzin popadał w zapomnienie. Nie popadałem w lenistwo i, pomijając poezję, sumiennie pracowałem nad naukami klasycznymi, nie oszukując i nie odpisując lekcji od kolegów. Największą przyjemność sprawiała mi lektura ód Horacego, które wprost uwielbiałem.

Kiedy opuściłem szkołę, jak na swój wiek byłem przeciętnym uczniem i wierzę, że wszyscy nauczyciele, a także mój ojciec, uważali mnie za najzupełniej zwyczajnego chłopca, może nawet poniżej przeciętnych standardów intelektualnych. Ku mojemu głębokiemu zażenowaniu pewnego razu ojciec rzekł do mnie: „Nie obchodzi cię nic poza strzelaniem, psami i łapaniem szcurków, okryjesz hańbą i siebie, i całą swoją rodzinę”. Ale mój ojciec, który był najbardziej uprzejmym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek znałem, a związane z nim wspomnienia kocham całym swoim sercem, musiał być wtedy wyjątkowo rozżłoszczony i jego ocena nie była sprawiedliwa, ponieważ kierował się w niej emocjami.

Patrząc wstecz na moje usposobienie w szkolnych czasach, jedynymi wartościami, które w owym okresie dobrze zapowiadały się na przyszłość, były moje silne i zróżnicowane zainteresowania, wielki zapał do wszystkiego, co mnie naprawdę interesowało oraz ogromna przyjemność, jaką odnajdywałem w rozumieniu złożonych tematów czy problemów. Geometrii euklidesowej uczył mnie prywatny nauczyciel i wyraźnie pamiętam wielką satysfakcję, jaką dawało mi rozwiązanie równań matematycznych. Żywe jest we mnie wspomnienie zachwyty, w jaki wprowadził mnie mój wuj<sup>4</sup> (ojciec Francisa Galtona), wyjaśniając mi zasadę

---

<sup>4</sup> Josiah Wedgewood.



działania noniusza barometru. Ze względu na zróżnicowane upodobania, niezależnie od nauki, przepadałem za czytaniem przeróżnych książek i zwykłem godzinami oddawać się lekturze historycznych sztuk Shakespeare'a, często zajmując miejsce przy starym oknie w grubych murach szkoły. Czytałem również inną poezję, między innymi „Pory roku” Thomsona oraz niedawno opublikowane poezje Byrona i Scotta. Wspominam o tym, ponieważ w późniejszym życiu, ku mojemu wielkiemu ubolewaniu, całkowicie utraciłem przyjemność, jaką czerpałem z czytania poezji, włączając w to Shakespeare'a. W nawiązaniu do tego mogę dodać, że w 1822 roku, podczas objazdowej wycieczki po Walii, po raz pierwszy obudziła się w moim umyśle żywa rozkosz czerpana przyjemności z podziwiania pięknych widoków i pozostała mi ona na dłużej niż jakakolwiek inna przyjemność natury estetycznej.

Pamiętam, że na początku mojej szkolnej przygody jeden z chłopców posiadał egzemplarz *Cudów Świata*, który często czytałem, a następnie dyskutowałem z innymi kolegami o prawdziwości niektórych zawartych tam stwierdzeń. Wierzę, że to ta książka, jako pierwsza rozbudziła we mnie pragnienie podróży do odległych krajów, które ostatecznie odnalazło spełnienie podczas wyprawy na okręcie *Beagle*.

W późniejszym okresie mojego szkolnego życia stałem się pasjonatem strzelania. Nie sędzę, że ktokolwiek mógłby okazać więcej zapału dla jakiegokolwiek sprawy najwyższej wagi, niż ja przejawiałem wobec strzelania do ptaków. Jak dobrze pamiętam dziś ustrzelenie mojego pierwszego bekasa (gatunek średniego ptaka wędrownego z rodziny bekasowatych)! Moje podniecenie było tak wielkie, że ledwie zdołałem przeładować broń trzęsącymi się rękoma. Pasja ta pozostała mi na długo i z czasem stałem

się naprawdę dobrym strzelcem. W czasie pobytu w Cambridge trenowałem przed lustrem narzucanie broni na ramię, aby sprawdzić, czy wykonuję tę czynność prosto. Innym, jeszcze lepszym pomysłem, było poproszenie przyjaciela, żeby poruszał się trzymając zapaloną świecę, podczas gdy ja strzelałem w jego stronę z bata w ten sposób, że jeśli cel obrany został prawidłowo, niewielki podmuch powietrza gasił świecę. Wystrzały z bata powodowały gwałtowne trzaski i powiedziano mi, że skomentował to jeden z profesorów: „Jakże niezwykłą rzeczą jest, że pan Darwin wydaje się spędzać w swoim pokoju całe godziny na uderzaniu końskim batem, jako że często słyszę trzask, kiedy przechodzę pod jego oknami.”

Miałem w szkole wielu bliskich przyjaciół i sądzę, że moje ówczesne usposobienie było wyjątkowo serdeczne.

Z szacunku do nauki z wielkim zapałem kontynuowałem kolekcjonowanie minerałów, jednakże w sposób raczej nienaukowy – wszystkim, na czym mi zależało, było zdobycie nowego okazu i nie dbałem przesadnie o ich klasyfikację. Z zainteresowaniem, ale i z nieszczerłą dbałością obserwowałem także insekty, bo odkąd skończyłem dziesięć lat (1819), przez trzy tygodnie chadzałem do Plas Edwards na wybrzeżu Walii. Bardzo zainteresowały mnie i zaskoczyły obecne tam okazy czarno-szkarłatnego pluskwiaka, wielu ciem (*Zygoena*) i chrząszczy (*Cicindela*), które nie zamieszkują Shropshire. Już prawie zdecydowałem się na rozpoczęcie kolekcjonowania insektów, jednak po konsultacji z moją siostrą doszedłem do wniosku, że zabijanie ich dla celów kolekcjonerskich nie byłoby właściwe. W wyniku lektury *Selborne'a White'a* (tłum.: *chodzi o The Natural History and Antiquities of Selborne*) czerpałem ogromną przyjemność z obserwacji zwyczajów ptaków; poczyniłem nawet szereg notatek

w tym zakresie. W całej swojej prostocie pamiętam jak zastanawiałem się, dlaczego nie każdy gentleman zostawał ornitologiem.

Kiedy moje szkolne życie zbliżało się do końca, mój brat bardzo mocno zainteresował się chemią i w szopie na narzędzia, jaką mieliśmy w ogrodzie skompletował przyzwoite laboratorium z odpowiednią aparaturą. Pozwalał mi asystować przy większości swoich eksperymentów. Uzyskiwał tam wiele gazów i związków chemicznych, a ja z zainteresowaniem czytałem książki traktujące o chemii, między innymi Katechizm Chemiczny (*The Chemical Catechism*) Henry'ego i Parkesa. Temat badań chemicznych ogromnie mnie zainteresował i często pracowaliśmy do późnych godzin nocnych. Była to najlepsza część mojej szkolnej edukacji, ponieważ pokazała mi praktyczne znaczenie eksperymentów naukowych. Informacja o tym, że pracowaliśmy nad zagadnieniami chemicznymi, w jakiś sposób rozeszła się w szkole, a jako że była to działalność bez precedensu, otrzymałem pseudonim „Gaz”.

Pewnego razu otrzymałem publiczną naganę od dyrektora, pana Butlera, za marnowanie mojego czasu na tak nieużyteczne zagadnienia. Nazwał mnie wówczas niesprawiedliwie „nierozważnym” (*poco curante*) i, jako że nie rozumiałem wówczas, co miał na myśli, wydało mi się to okrutnie potępiającym określeniem.

Jako że nie spisywałem się w szkole przesadnie dobrze, mój ojciec rozsądnie zdecydował się zabrać mnie do domu w raczej młodszym wieku, niż to zazwyczaj miało miejsce, i w październiku 1825 roku, razem z moim bratem, wysłał mnie na Uniwersytet w Edynburgu. Studiowałem tam przez dwa lata. Mój brat kończył swoją medyczną edukację, mimo że nigdy nie wierzyłem, że kiedykolwiek planował praktykować jako medyk, podczas gdy ja miałem dopiero rozpocząć naukę. Wkrótce po tym

okresie z różnych drobnych okoliczności wywnioskowałem, że mój ojciec zostawi mi majątek wystarczający do tego, abym mógł żyć z pewnym poczuciem komfortu. Choć nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będę tak zamożnym człowiekiem, jakim teraz jestem moja wiara była wystarczająca, by odciągnąć mnie od żmudnego wysiłku zgłębiania wiedzy medycznej.

Edukacja w Edynburgu odbywała się w formie wykładów, które były niemożliwie nudne – za wyjątkiem tych z chemii prowadzonych przez prof. Hope'a. W porównaniu z samodzielną lekturą nie znajdowałem żadnych zalet uniwersyteckich wykładów, dostrzegałem za to wiele ich wad. Zajęcia dr. Duncana dotyczące budowy materii odbywające się o 8 w zimowe poranki do tej pory są okropnym wspomnieniem. Dr. Munro uczynił swoje wykłady dotyczące anatomii człowieka tak nudnymi, jak nudna była jego osoba, a przedmiot tych zajęć napawał mnie obrzydzeniem. Jednym z największych błędów mojego życia polegał na tym, że nie zobligowano mnie w tym czasie do przeprowadzania sekcji zwłok, jako że dzięki temu musiałbym natychmiast zwalczyć moje obrzydzenie, a praktyka ta miałaby nieocenioną wartość dla mojej przyszłej kariery. Był to błąd nieodwracalny, tak samo zresztą jak mój brak nabycia umiejętności rysowania. Uczęszczałem również regularnie do oddziałów klinicznych. Niektóre przypadki wprawiały mnie w niezwykle zakłopotanie i do tej pory jestem w stanie przywołać ich wyraźne wspomnienia. Nie byłem jednak na tyle nierozważny, by pozwolić tym uczuciom na ograniczenie mojej obecności na zajęciach. Nie mogę zrozumieć, dlaczego ta część mojego medycznego wykształcenia nie interesowała mnie w większym stopniu. Latem, przed przyjazdem do Edynburga, zacząłem odwiedzać biednych ludzi, przede wszystkim kobiety i dzieci w Shewsbury. Sporządzałem

najdokładniejsze z możliwych notatki ich chorób i wszystkich ich symptomów, a następnie czytałem je mojemu ojcu, który proponował kierunek dalszych dociekań i doradzał mi, jakie lekarstwa zalecić – a ja następnie sam je przygotowywałem. Pewnego razu miałem nie mniej niż tuzin pacjentów i poczułem niezwykle zapal do pracy. Mój ojciec, który znał się na ludziach najlepiej spośród wszystkich znanych mi osób, powiedział, że zapowiadam się na znakomitego medyka – a miał na myśli takiego lekarza, który będzie miał wielu pacjentów. Za kluczowy element sukcesu uważał pewność siebie, ale do tej pory nie wiem, czym było to, co dostrzegł we mnie, i co przekonało go o tym, że rozwinę w sobie tę cechę. Dwukrotnie wziąłem również udział w pokazowej operacji w edynburskim szpitalu i widziałem dwa trudne zabiegi operacyjne – w tym jeden przeprowadzony na dziecku – ale w obu przypadkach opuściłem salę, zanim dobiegły one końca. Nigdy więcej nie wziąłem udziału w czymś podobnym i raczej nie istniała zachęta wystarczająca, by mnie do tego przekonać. Było to jeszcze na długo przed błogosławnymi dniami zastosowania chloroformu do znieczulenia. Te dwa przypadki operacji, w których uczestniczyłem, odcisnęły na mnie głębokie piętno i nawiedzały mnie przez wiele kolejnych lat

Mój brat uczęszczał na uniwersytet jeszcze jedynie przez rok, więc na kolejne semestry mojej nauki zostałem pozostawiony samemu sobie. Okazało się to być dla mnie dużą zaletą, ponieważ zawarłem bliską znajomość z kilkoma osobami pasjonującymi się naukami przyrodniczymi. Jedną z nich był Ainsworth, który następnie opublikował zapiski ze swoich podróży po Asyrii. Był on geologiem wernerowskim i posiadał szeroką wiedzę w wielu tematach. Dr Coldstream<sup>5</sup> z kolei był zupełnie innym, młodym

---

<sup>5</sup> Dr Coldstream zmarł 17 września 1863 roku.

człowiekiem: dumnym, formalnym, wyjątkowo religijnym i niezwykle dobrodusznym. Wydał wiele dobrych artykułów zoologicznych. Trzecim nowym znajomym był Hardie, który, jak sądzę, miał szansę zostać znakomitym botanikiem, jednakże zmarł przedwcześnie w Indiach. Ponadto był jeszcze dr Grant, starszy ode mnie o parę lat, z którym nie pamiętam już, jak się zapoznaliśmy. Wydał parę pierwszorzędnych artykułów zoologicznych, ale po przeprowadzce do Londynu, gdzie objął stanowisko profesora na University College, nie osiągnął już żadnych sukcesów naukowych, co na zawsze pozostało dla mnie niewytłumaczalne. Znałem go dobrze. Był oschły i formalny, ale po przedarciu się przez jego powierzchowność przejawiał wiele entuzjazmu. Pewnego dnia, kiedy spacerowaliśmy razem, wpadł w zachwyt nad Lamarckiem i jego poglądami na ewolucję. Słuchałem go w cichym zdumieniu i, o ile mogę to ocenić, nie miało to jednak żadnego wpływu na mój umysł. Czytałem już wcześniej „Zoonomię” autorstwa mojego dziadka, w której przedstawione zostały podobne poglądy, ale nie wywarło to na mnie żadnego wrażenia. Jest jednakowoż prawdopodobnym, że tak wczesne zetknięcie się z podtrzymywaniem i wychwalaniem tych poglądów mogło sprzyjać temu, że w późniejszym czasie przedstawiłem je w innej formie w mojej książce „O powstawaniu gatunków” (*The Origin of Species*). Mocno wówczas podziwiałem Zoonomię, kiedy jednak sięgnąłem po nią ponownie po dziesięciu czy piętnastu latach, poczułem ogromne rozczarowanie stosunkiem spekulacji do przedstawionych faktów.

Doktor Grant i Doktor Coldstream poświęcali dużo czasu na wykłady z zoologii morskiej, a ja często towarzyszyłem temu pierwszemu podczas zbierania zwierząt w basenach pływo-wych, gdzie następnie analizowałem je tak dokładnie, jak tylko potrafiłem. Zaprzyjaźniłem się również z niektórymi rybakami

z Newheven i od czasu do czasu towarzyszyłem im w wyprawach po ostrygi, mając dzięki temu okazję do poszerzenia ich kolekcji o wiele różnych rodzajów. Jednakowoż z braku regularnej praktyki w preparowaniu materiału biologicznego, jak również ze względu na to, że posiadałem jedynie nędzny mikroskop, moje próby nie wypadały najlepiej. Poczyniłem jednakże jedno małe interesujące odkrycie i na początku 1826 roku odczytałem referat przed Towarzystwem Pliniuszowym. Odkrycie to dotyczyło tak zwanego jajeczka flustry, będącego w istocie larwą, posiadającego zdolność do samodzielnego poruszania się z wykorzystaniem rzęsek. W innym krótkim artykule wykazałem, że niewielkie kuliste ciała, które dotychczas uważano za młode stadia rozwoju *fuchs loreus* (rodzaj mchu), okazały się być jajami pasożytów *pontobdella muricata*.

Towarzystwo Pliniuszowe było wspierane i, jak mi się wydaje, założone przez profesora Jamesona. Składało się ze studentów, którzy spotykali się w podziemnej sali uniwersytetu, aby czytać artykuły dotyczące nauk przyrodniczych, a następnie o nich dyskutować. Uczęszczałem na spotkania regularnie i miały one na mnie dobry wpływ, stymulując mój zapał i pozwalając mi na zawarcie wielu wartościowych znajomości. Pewnego wieczoru jakiś biedny młody mężczyzna wstał z miejsca i, kiedy po dłuższej chwili udało mu się przezwyciężyć nerwowe jąkanie, z policzkami płonącymi szkarłatem, wyduślił z siebie te oto słowa: „Panie przewodniczący, zapomniałem, co zamierzałem powiedzieć”. Biedak wyglądał na strasznie przytłoczonego, a wszyscy pozostali uczestnicy spotkania byli tak zaskoczeni, że nikomu nie przychodziły na myśl żadne słowa, których można by użyć, aby przykryć jego zakłopotanie. Artykuły, które czytaliśmy w naszym małym stowarzyszeniu, nie były drukowane, dlatego też nie poczułem wtedy satysfakcji

z zobaczenia na papierze pracy mojego autorstwa. Wierzę jednak, że doktor Grant dostrzegł wtedy moje małe odkrycie.

Należałem również do Królewskiego Stowarzyszenia Medycznego i regularnie uczęszczałem na spotkania, ale poruszane w ich trakcie tematy traktowały wyłącznie o medycynie, w związku z tym nie zdobyły mojego zainteresowania. Wiele wystąpień było bezwarściowych, jednakowoż pojawiali się i dobrzy mówcy, z których najlepszym był sir James Kay-Shuttleworth. Doktor Grant zabierał mnie od czasu do czasu na spotkania Towarzystwa Wernerowskiego, gdzie czytano różne artykuły dotyczące historii naturalnej, następnie omawiano je i publikowano w czasopiśmie „Transakcje” (naukowe czasopismo Cambridge University). Zetknąłem się tam m.in. z Auduborem wygłaszającym interesujące dyskursy traktujące o zwyczajach północnoamerykańskich ptaków, pokpiwając sobie przy tym z Watertona, zdobywającego środki do życia z wypychania ptaków, co zresztą wychodziło mu znakomicie. Udzielał mi on odpłatnych lekcji i zwykłem siadywać z nim, jako że był niezwykle przyjaznym i inteligentnym człowiekiem.

Pan Leonard Homer zabrał mnie raz na spotkanie Królewskiego Stowarzyszenia Edynburga, gdzie widziałem sir Waltera Scotta, zajmującego fotel przewodniczącego. Przeprosił on wówczas uczestników spotkania, jako że nie czuł się odpowiednią osobą do piastowania tego stanowiska. Popatrzyłem na niego i całe zajęcie z podziwem i szacunkiem i sądzę, że to właśnie tej wizycie zawdzięczam, że sam dostałem zaszczytu bycia wybranym honorowym członkiem obu tych stowarzyszeń. Gdyby powiedziano mi w tamtym czasie, że pewnego dnia tego doświadczę, odebrałbym to jako niepoważne i nieprawdopodobne, tak jakby właśnie powiedziano mi, że zostanę wybrany królem Anglii.